

JUSTYNA KACZMARCZYK

ZRANIENI

ROZMOWY O WYKORZYSTYWANIU
SEKSUALNYM W KOŚCIELE

WYDAWNICTWO WAM

Powoli rodzę się do życia

Świadectwo osoby zranionej w Kościele

Ile miałaś lat, kiedy ksiądz cię skrzywdził?

Siedem. Ten ksiądz pracował w naszej parafii i uczył religii, a ja nie byłam jedyną osobą, którą wówczas wykorzystywał seksualnie. Inne dziewczynki w klasie również tego doświadczyły. Ofiarami tego księdza pedofila padły także dzieci w przedszkolu. Bardzo małe dzieci...

Jak to, co się stało, wpłynęło na twoje relacje z Kościołem?

Nigdy nie odeszłam. Wychowałam się w katolickiej rodzinie i po wykorzystaniu seksualnym cały czas chodziłam do kościoła. Choć momentami było to dla mnie bardzo trudne.

A jaki to miało wpływ na ciebie?

Skutkiem tego, że padłam ofiarą wykorzystania seksualnego, było bardzo wczesne rozbudzenie się mojej

sfery seksualnej. Nie potrafiłam sobie radzić z własną seksualnością i nie rozumiałam, co się ze mną dzieje. Nieustannie się obwiniałam i żyłam w ogromnym lęku. Przez lata trwałam w konflikcie. Z jednej strony chciałam zachować czystość, z drugiej nie radziłam sobie z moimi kompulsywnymi potrzebami na tle seksualnym.

W jaki sposób informacja o wykorzystaniu wyszła na jaw?

Na lekcji wychowawczej zapytałyśmy wychowawczynię, dlaczego ksiądz robi z nami takie rzeczy. Podjęto jakieś działania, było zebranie z rodzicami, ale nie zmieniono nam katechety. Powiedziano jedynie, że mamy się trzymać od niego z daleka. Tylko jak miałyśmy się trzymać z daleka, skoro nadal uczył religii? W parafii powstało coś na kształt komitetu obrony księdza, złożonego głównie ze starszych pań. Broniły go, powtarzając, że dzieci szybko zapomną, a taki społecznik jak on już się więcej nie trafi. Jakiś czas później ksiądz został usunięty z parafii. W tamtych czasach ludzie mówili, że poszedł do „kościelnego więzienia”. W rzeczywistości został przeniesiony w inne miejsce, gdzie również krzywdził dzieci. W następnych placówkach, do których był przenoszony, też dopuszczał się czynów pedofilskich.

Nami nikt się nie zajął, nauczyciele zupełnie zignorowali problem.

A rodzice?

Raz zapytali.

O tę sprawę?

Tak, ale o co dokładnie – nie pamiętam. Pamiętam za to ciocię, która przyszła i zainteresowała się, co się stało. Opowiedziałam jej o wszystkim. Kiedy zobaczyłyśmy się następnym razem, znowu zaczęłam jej mówić, co ksiądz mi robił. Ona na to: „Myślałam, że powiesz mi coś nowego”. To jedno zdanie spowodowało, że całkowicie się zamknęłam. Poczulałam, że to, co się stało, w ogóle nie jest ważne, a moje mówienie o tym nie ma najmniejszego sensu. Od tego momentu zaczęła się moja wewnętrzna izolacja. Do tego nasilający się problem z przeżywaniem własnej seksualności. Cały czas byłam pobudzona, nie miałam pojęcia, co się ze mną dzieje. O tym, że to wynik wykorzystania seksualnego, dowiedziałam się dwadzieścia lat później podczas terapii.

Obwiniałaś się?

Tak, bardzo. Cały czas nie rozumiejąc swojej seksualności, potępiałam siebie. Uważałam, że to ze mną jest coś nie

tak, że to moja wina, że jestem grzeszna, brudna... Nigdy nie łączyłam swoich problemów seksualnych z kapłanem, który wyrządził mi krzywdę. Po prostu całe to doświadczenie jakoś sobie wycięłam, ono było poza mną. Czułam się taka niekochana... Pamiętam też ogromny wstyd przed samą sobą, przed innymi i przed Panem Bogiem. Problem wczesnego rozbudzenia sfery seksualnej miał swoje następstwa. W wieku nastoletnim zaczęłam wchodzić w toksyczne relacje z mężczyznami, nie umiałam stawiać granic. Po jakimś czasie moje poczucie własnej wartości było tak niskie, że doszłam do wniosku, iż Bóg nie może kochać kogoś takiego jak ja.

Jaki miałaś obraz Boga?

Problemy seksualne bardzo go zniekształciły. Bóg kojarzył mi się z surowym sędzią, który tylko liczy moje grzechy. Po latach wykształciła się we mnie potężna nerwica na tle religijnym, to było bezpośrednim powodem, dla którego trafiłam na terapię. Panicznie bałam się grzechu, opętania, śmierci i piekła. W mojej głowie Pan Bóg był kimś, kto karze. Żyłam w ciągłym lęku przed popełnieniem grzechu, żeby nie zostać potępioną. Dostałam ataków paniki na mszy. Pamiętam, że przerażało mnie wejście do pustego kościoła. Kiedy już do niego

wchodziłam, pojawiały się w mojej głowie lubieżne obrazy. Do tego miałam problem z przyjmowaniem Komunii z rąk kapłana. To było pierwsze załamanie nerwowe. Potem przeżyłam jeszcze dwa. Ostatnie, najsilniejsze, zbiegło się w czasie z procesem.

Kiedy zgłosiłaś swoją sprawę?

Po dwudziestu pięciu latach od krzywdy. Pomógł mi jeden z biskupów pomocniczych w mojej diecezji. Wysłuchał mnie, przyjął naprawdę z otwartym sercem i skierował do kapłana, który miał się zająć moją sprawą. Myślałam, że chodzi tylko o to, żeby pomóc mi poradzić sobie z fałszywym obrazem Boga, ale okazało się, że on razem ze mną przygotował zgłoszenie do kurii, by rozpocząć proces. Ten ksiądz był osobą, która okazała mi bardzo dużo serca, życzliwości i troski, towarzysząc mi przez całą drogę procesową. Kiedy sprawie nadano oficjalny bieg, zaproszono mnie na przesłuchanie wstępne. I to była najbardziej dramatyczna rzecz, jaka mnie kiedykolwiek spotkała.

Co tam się wydarzyło?

Oficjał sądu mnie zlinczował. Trzech księży i ja sama. Najpierw kazał mi przysiąc na krzyż, że wszystko,

co zostanie tam powiedziane, nie wyjdzie na światło dzienne. Teraz wiem, że takiej przysięgi się już nie składa. Później zadawał mi szczegółowe pytania dotyczące wykorzystania. Kiedy opowiedziałam, że byłam krzywdzona na lekcji religii, za biurkiem w czasie mojej odpowiedzi, ksiądz oficjał skomentował ironicznie, że „w takim razie wypadałoby mniej wiedzieć, wtedy molestowanie trwałoby krócej”. Potem powiedział, że w moim przypadku sformułowanie „wykorzystywanie seksualne” to za duże słowo. Brzmiało to jak pomniejszenie znaczenia całego zdarzenia i jego strasznych dla mnie skutków, z którymi zmagam się do dziś. Potem wspomniałam o tym, że w parafii mówiono, iż sprawca został przeniesiony do „więzienia kościelnego”, na co oficjał zakpił: „Tak, jeszcze pewnie był torturowany”. Zabronił mi używania słowa „pozew”, bo mu się „źle kojarzy”.

Manipulował?

Pytał na przykład, czy na pewno chcę, aby rany, które zadał sprawca, zostały ponownie otwarte u tych wszystkich pokrzywdzonych dzieci. Stwierdził: „Może one już zapomniały i nie chcą do tego wracać”. Mówił: „Czasem chcemy dobra, a może wyjść z tego dużo zła”. Na końcu zapytał, czy zdaję sobie sprawę, ile zdrowia będzie

to kosztowało sprawcę, jego (oficjała sądu) i księży zebranych na sali, żeby tę sprawę wyjaśnić. Poczułam się poniżona i ośmieszona. Na tym przesłuchaniu krzywdziciel stał się ofiarą, a ofiara krzywdzicielem. Wychodziłam z przesłuchania zmiażdżona, w poczuciu, że jestem bardzo złym człowiekiem.

Z takim poczuciem zostawili cię księża?

Opuszczając budynek kurii, nie mogłam się uwolnić od myśli, że najlepszym wyjściem byłoby odebrać sobie życie. Bo nie jestem godna życia. To był czas bardzo głębokiej depresji. Długo trwało, zanim wyszłam z tego stanu.

Jak przebiegało dalsze postępowanie procesowe?

Po interwencji oficjała sądu został odsunięty od prowadzenia przesłuchania wstępnego, a jego miejsce zajął ktoś inny. Oficjał nadal miał jednak duży wpływ na przebieg procesu. Ksiądz, który przejął kontakt ze mną, miał bardzo podobne podejście jak poprzednik. Na moje pytanie, dlaczego kuria nie zacznie szukać ofiar w kolejnych wioskach, w których sprawca posługiwał i w których doszło do wykorzystywania dzieci, usłyszałam, że to nie ma sensu, bo proboszczowie tych parafii nie żyją albo mają demencję. Kiedy domagałam się, żeby sprawca został

usunięty ze stanu kapłańskiego, bo uważam, że jest niegodny trzymać w rękach Najświętszy Sakrament, w odpowiedzi usłyszałam, że to za duża kara jak na takie przestępstwo... Do tego dochodził brak informacji od księdza prowadzącego. Sama musiałam ciągle dzwonić do kurii, żeby dowiedzieć się czegokolwiek, i wyjaśniać każdemu po kolei, w jakiej sprawie dzwonię. To było bardzo przykre.

Jak skończył się proces?

Ostatecznie dostałam do podpisania dekret. Na tym spotkaniu byłam sama. Nie wolno mi było przyjść z osobą towarzyszącą. Mogłam przeczytać dokument tylko w obecności dwóch urzędników kurialnych. Nie dostałam jego kopii i nie mogłam go sfotografować. Liczył pięć albo sześć stron i nie mogłam go z nikim skonsultować. Cała ta sytuacja była dla mnie bardzo trudna. Sąd kurialny uznał, że mój krzywdziciel w momencie popełnienia przestępstwa na nieletnich, kiedy sprawował posługę wikariusza w naszej parafii, był częściowo oraz chwilowo niepoczytalny. Jednak w dekrecie nie powołano się na żadne badania psychiatryczne. Ta argumentacja była dla mnie trudna do przyjęcia, ponieważ zachowanie sprawcy nie dawało podstawy do wysnucia

takiego wniosku. A dodatkowo kuria przesunęła go do pracy w innej placówce. Podczas tamtego spotkania podpisałam dekret. Nie zgadzałam się jednak z jego postanowieniami i zwróciłam się do Stolicy Apostolskiej o ponowne rozpatrzenie sprawy. Koniec końców sprawa została wydalony ze stanu duchownego. Cały proces trwał trzy lata.

Jakie to miało dla ciebie znaczenie?

To był dla mnie moment przełomowy. Pierwszy raz poczułam, że wyszłam z roli ofiary i zaważczyłam o samą siebie! To na pewno dało mi siłę do wyjścia z depresji.

Opowiadałaś o swojej sprawie publicznie?

Tak. W pewnym momencie weszłam na drogę publicznego dawania świadectw. I to z kolei zdecydowanie utrudniło zamknięcie sprawy.

Dlaczego?

Terapeuta uświadomił mi, że osoby, które zostały wykorzystane seksualnie, mogą mieć skłonności do ekshibicjonizmu. Może się to objawiać na przykład nadmiernym podkreśleniem swojej fizyczności przez noszenie obcisłych sukienek, mocny makijaż itd., ale też przez zbyt

otwarte mówienie o swojej seksualności. To też przeszłam, tylko nie wiedziałam, że to skutek wykorzystania seksualnego. Z łatwością otwierałam przed ludźmi sferę bardzo intymną. Tak właśnie było też z publicznym daniem świadectw. Z jednej strony opowiedzenie mojej historii przychodziło mi łatwo, z drugiej – wiele mnie kosztowało. Chciałam pokazać problem osób skrzywdzonych i to było moje wołanie o pomoc dla ofiar. Jednak zobaczyłam także, że to rozdrapuje moją ranę i nie pozwala się jej zagoić.

Tak jakbyś „rozbierała się”, opowiadając swoją historię?
Dokładnie tak. A chodzi o to, żebym się właśnie „ubrała”, odzyskała swoją intymność. Wykorzystanie seksualne tyle we mnie zniszczyło. Myślę, że mój proces „ubierania się” rozpoczął się już kilka lat temu. Wtedy powoli zaczęłam nosić skromniejsze stroje i malować się subtelniej, uczyłam się nowej kobiecości, przepełnionej delikatnością, ciepłem i wrażliwością. Widzę w tym duże prowadzenie Maryi, która jest dla mnie wzorem subtelnej, pięknej kobiety. W końcu przestałam publicznie dawać świadectwa, zaczęłam chronić sferę związaną z wykorzystaniem jako intymną część mojego życia. To jest bardzo ważne, aby osoba skrzywdzona chroniła swoją sferę

intymną i nie dała się ponownie wykorzystać. Dlatego martwi mnie trochę to, co widzę w mediach.

Co masz na myśli?

Wiele ofiar, co też od nich słyszę, czuje się ponownie wykorzystanych przez ludzi mediów, dziennikarzy. Niestety nie wszyscy mają dobre intencje, są tacy, którzy próbują na tych historiach wypromować swoje nazwisko i zwiększyć swoją popularność. Do tego można też zauważyć wiele nieprawdziwych i zmanipulowanych wypowiedzi. To bardzo boli. Nie chcę, żebyś źle mnie zrozumiała, uważam, że powinno się pokazywać te historie i mówić na ten temat publicznie – bo to jest element oczyszczenia Kościoła. Ale to trzeba robić w prawdzie, rzetelnie i uczciwie. A co najważniejsze, oprócz pokazywania wyrządzonego zła trzeba zacząć wskazywać drogi wyjścia. Mówienie o krzywdzie bez zaproponowania rozwiązań jest tylko rozdrapywaniem ran. Nie chodzi mi tu jedynie o osoby skrzywdzone w Kościele, ale też w innych środowiskach. Pozostawia się tych ludzi z otwartą raną, nie dając im żadnej nadziei.

Zgodziłam się udzielić wywiadu na potrzeby tej książki właśnie po to, żeby dać nadzieję tym, którzy przeżyli traumę podobną do mojej i stracili sens życia. Dobrze

pamiętam ten czas, kiedy wydawało mi się, że to już koniec. Nie poddałam się jednak i zaczęłam walczyć. A teraz widzę, jak na nowo rodzę się do życia. Życia coraz bardziej pełnego pokoju, radości i dobra. Uzdrawienie to proces, jest jeszcze dużo do zrobienia, ale głęboko wierzę, że Bóg będzie ze mną i że cały czas będzie mnie prowadził.

Jak przebiega ten proces?

To są lata mojej terapii psychologicznej, podczas której uczyłam się radzenia sobie z lękiem. Pokazano mi, jakie mechanizmy mają wpływ na moje życie i decyzje. Psycholog wskazał przyczyny moich różnych zachowań i problemów, z którymi sobie nie radziłam. To były lata wypłakiwania mojej krzywdy.

Czy zmienił się twój obraz Boga?

Najważniejsze w relacji z Bogiem wydarzyło się przed kilkoma miesiącami. Pierwszy raz w życiu stanęłam przed Nim w całej prawdzie. Wykrzyczałam wobec Niego wszystkie głęboko skrywane uczucia i emocje. Kiedy to wszystko ze mnie wypłynęło, poczułam, że On mnie nie potępia, ale przyjmuje mnie taką, jaka jestem. Z całą moją historią i z wszystkimi emocjami. Wiele lat żyłam

w poczuciu głębokiego opuszczenia i odrzucenia przez Boga. Widzę, że Bóg to wszystko powoli przemienia. Coraz bardziej przekonuję się, jak On jest inny niż moje dotychczasowe wyobrażenia. To proces i droga mojego uzdrowienia, które dokonuje się we wspólnocie Kościoła.

Zaczęło się też zmieniać moje myślenie o kapłanach. Zobaczyłam, że nie wszyscy są źli. Poznałam dobrych księży, którzy mnie wysłuchali, nie oceniając, okazali empatię i współczucie. Przez ich posługę sakramentami zaczęło się moje duchowe uzdrowienie. Bardzo ważne w tym procesie okazało się kierownictwo duchowe. Kierownik uczy mnie zintegrowania życia duchowego i emocjonalnego, zdrowej duchowości. Uczy mnie również budowania szczerzej i autentycznej relacji z Bogiem.

Moje uzdrowienie dokonuje się we wspólnocie Kościoła przez różne osoby, również świeckie, dobrze uformowane duchowo. Świadectwem życia uczą mnie, że od Boga pochodzi tylko dobro. Te osoby są dla mnie darem. Jedna z nich pojawiła się już na etapie procesu, bez niej nie dałabym rady. To ona pomogła mi nie tylko podjąć decyzję o wejściu na drogę procesową, ale także przejść przez ten trudny czas, dźwigała mnie, kiedy nie miałam już sił. Wspierała mnie obecnością, modlitwą i sercem. I robi to do dziś.

Do niedawna byłam skupiona na ciągłym rozpamiętywaniu zła. Cierpienie stało się moim bożkiem i centrum mojego życia. Obecnie uczę się szukać dobra i skupiać się na dziękowaniu za to, co dobrego się wydarzyło. Wraca mi radość życia i staram się być wdzięczna za drobne rzeczy w codzienności. Uczę się też coraz bardziej kochać siebie. Widzę również uzdrowienie w sferze seksualnej. Wielkim darem dla mnie jest łaska codziennej Eucharystii i częsta adoracja Najświętszego Sakramentu. Dla mnie to jest cud, jaki dokonał się w moim życiu.

Czego dziś oczekujesz od Kościoła?

Ewangelicznego podejścia do człowieka. Nie mogę się pogodzić z tym, że Kościół, który jest Jezusowy, który pierwszy powinien głosić Ewangelię i o niej świadczyć, nie potrafi w sposób godny i empatyczny przyjąć osoby skrzywdzonej. Wiem, jak to ważne, bo spotkałam osoby duchowne, które okazały mi troskę i miłość. Ale znam też doskonale inne podejście, bo doświadczyłam niewysłuchania, oporu i braku zrozumienia. To głęboko mnie zraniło.

Bardzo cierpię też z tego powodu, że osoby skrzywdzone na tle seksualnym są dziś uważane za te, które atakują Kościół. Zarzuca się nam, że burzymy Kościół,

a to przecież tylko wołanie o pomoc i sprawiedliwość. Jakby ludzie nagle zapomnieli, że za krzywdą kryje się konkretny człowiek, który jak pobity przez zbójców potrzebuje miłosiernego Samarytanina. Gdzie my mamy szukać tej sprawiedliwości, jeśli nie w Kościele? Brakuje mi tego zwyczajnego, ludzkiego podejścia, takiego przytulenia ze strony ludzi Kościoła. Wyjścia do ofiar. Ludzie się dziwią, że po wielu latach zaczynamy mówić o skrzywdzeniu. Zranienie pracuje w człowieku przez lata. To życie w lęku, poczuciu gniewu, buntu, wstydu, które buzuje, buzuje, aż w końcu wybucha. Często ludziom się błędnie wydaje, że dziecko zapomni. Tak nie jest, dziecko pamięta wszystko. Rodzic nie pyta, dziecko o tym nie mówi i zostaje z tym samo. I tu zaczyna się dramat.

W pierwszy piątek Wielkiego Postu przypada dzień modlitwy i pokuty za grzechy wykorzystywania małoletnich. Jest taka modlitwa w tym dniu w twojej parafii?

U mnie ksiądz proboszcz nie porusza tego tematu. Nie chciał nawet wywiesić w gablocie numerów kontaktowych do instytucji, gdzie pokrzywdzeni mogą szukać pomocy. A u nas jest znacznie więcej osób skrzywdzonych

przez księdza, który i mnie wykorzystał seksualnie. Czasem myślę o tym, co one przeżywają, jak muszą cierpieć. Może tak jak ja kiedyś znalazły się na granicy śmierci? Ogromnie mnie boli, że proboszcz nie chce wyciągnąć do nas ręki, zasłaniając się tym, że nie chce rozdrapywać naszych ran. Tylko że one same się nie uleczą. Oczekiwałabym pasterskiego podejścia. Powiedzenia: „Jesteście dla mnie ważni, upominam się o was, tak jak upomina się Pan Bóg o każdą osobę skrzywdzoną”. Chciałabym uznania, że krzywda, która mnie spotkała, zniszczyła mi życie. Zależy mi na nazwaniu tego po imieniu, to jest niezwykle ważne.

Czy parafianie wiedzą, że w dochodzeniu potwierdzono, że ich dawny ksiądz krzywdził dzieci i został za to usunięty ze stanu duchownego?

Ta informacja nigdy nie została ogłoszona w naszej parafii. Dla mnie jako osoby skrzywdzonej wejście na drogę procesową było przełomem. Wierzę, że innym skrzywdzonym przez tego kapłana oficjalna informacja o finale procesu przyniosłaby wielką ulgę. Świadomość, że przestał być księdzem, dałaby poczucie sprawiedliwości. Tego potrzeba – miłosierdzie objawia się również w sprawiedliwości. A w nim można szukać ukojenia.

Co musiałyby się stać, żeby proboszcz, taki jak ten z twojej parafii, zaczął się otwierać na pokrzywdzonych? Im bardziej stykam się z tym problemem, tym wyraźniej widzę, jak wielkie są opór i zamknięcie na ten temat. Może spotkanie z osobą pokrzywdzoną zmieniłoby jego podejście? Choć to rodzi też ryzyko, że konfrontacja takiej osoby z proboszczem może się wiązać z ponownym odrzuceniem i kolejnym zranieniem. Dlatego tak ważni są pośrednicy, którzy znają ten temat. Widzę tu dużą rolę osób świeckich, które w takich sytuacjach mogą i powinny porozmawiać z proboszczem i powiedzieć, że chcą zajęcia się tą krzywdą, bo ona dotyka i wyniszcza całą wspólnotę. Kolejnym sposobem, który chodzi mi po głowie, jest inicjatywa duszpasterzy i wyjście do tych parafii. Myślę o kapłanach takich jak duszpasterz osób pokrzywdzonych, ale też innych, którzy wiedzą, że w danej wspólnocie jest taki problem.

Żeby proboszcz czuł, że jest pasterzem parafii, która jest wspólnotą ludzi?

Dokładnie tak! To jest wspólnotowy problem. To ważne, żeby taki proboszcz też chciał przyjąć pomoc, jeśli nie radzi sobie z tematem wykorzystywania seksualnego w Kościele. Może potrzebuje rady? Doświadczenia? Wyjaśnienia?

Wszystko zaczyna się od rozmowy. To mogłoby pomóc w przełamaniu wielu barier. Wierzę, że Pan Bóg w końcu skruszy te serca. Na szczęście w Kościele powstają kolejne miejsca, gdzie pokrzywdzeni mogą szukać pomocy. Są wypracowane procedury zgłoszenia krzywdy u delegatów w każdej diecezji. Są duszpasterze osób skrzywdzonych, u których można szukać pomocy duchowej. Powstały strony internetowe: zgloskrzywde.pl oraz wspolnotazezranionymi.pl. Jest inicjatywa: „Zranieni w Kościele” i działający w jej ramach telefon wsparcia, w Poznaniu powstał punkt konsultacyjny, od wielu lat działa Centrum Ochrony Dziecka, od niedawna także Fundacja Świętego Józefa. To cieszy i daje mi nadzieję na dalsze dobre zmiany w Kościele. W Krakowie ruszyła inicjatywa „Ku uzdrowieniu”. Czytałam, że ma ona charakter nie grupy terapeutycznej, a prowadzonej pod okiem specjalistów grupy wsparcia i bardzo mi się spodobała ta forma. Nie zastępuje terapii, podczas której trzeba dotrzeć do źródeł traumy i je przepracować, ale skupia się na bieżących problemach osób skrzywdzonych w przeszłości.

Na przykład?

Problem z poczuciem własnej wartości. To jedna z konsekwencji wykorzystania seksualnego. Ważne jest również

to, że spotykają się osoby, które łączy podobne doświadczenie i zrozumienie problemów, z którymi się borykają.

Spotkałam się nieraz z takim podejściem: możesz mówić o pedofilii w Kościele, ale tylko jeśli będziesz mówić tak samo często o pedofilii wśród murarzy, lekarzy, artystów itd. Jak odbierasz takie patrzanie na sprawę?

Ostatnio słyszę, jak ludzie mówią: „Wy w Kościele macie lżej niż ci, którzy zostali skrzywdzeni w rodzinie. Ci, którzy są skrzywdzeni przez ojca, wujka itd., mają gorzej”. Czuję się, jakby ktoś pomniejszał moją krzywdę, a tym samym ją rozdrapywał. Dużo czasu zajmuje mi odnalezienie spokoju po takich słowach. Dla mnie jest to wartościowanie krzywdy. Przypomina mi się wtedy komitet obrony księdza, oficjał, ciotka... Myślę, że tak samo czują się ci, którzy zostali skrzywdzeni przez kogoś w rodzinie, kiedy mówi im się o tym, że ci z Kościoła mają gorzej. Dlatego, proszę, nie wartościujcie naszych zranień. Jedni i drudzy potrzebują tego samego – uznania krzywdy. Konsekwencje mogą być inne, w przypadku skrzywdzonych w Kościele pewnie bardziej związane ze sferą duchowości i wiary. Inaczej też wygląda dochodzenie do prawdy i sprawiedliwości. Ale skrzywdzony człowiek to po prostu skrzywdzony człowiek. Mamy

tu do czynienia z szeroko pojętym problemem społecznym. Cały czas myślę o osobach wykorzystanych w rodzinach. Dla nich zgłoszenie krzywdy jest niezwykle trudne, bo muszą wystąpić przeciwko najbliższym i często dochodzi do podziału między nimi. Sądzę, że Kościół i państwo powinny równocześnie zająć się pomocą skrzywdzonym, żeby nie było poczucia, że jedne ofiary są lepsze albo gorsze od drugih.

Usłyszałam niedawno zdanie od kapłana, który robi dużo dobrego dla osób zranionych, że życzyłby sobie, by za piętnaście lat Kościół był miejscem, gdzie pomoc może znaleźć każda osoba skrzywdzona na tle seksualnym, niezależnie od tego, kto był sprawcą. Oczywiście nie chcę umniejszyć tu roli instytucji publicznych, bo nie wszystkie osoby skrzywdzone w jakimkolwiek środowisku są wierzące. Ale jeśli ktoś spotka skrzywdzonego, to będzie mógł mu powiedzieć: idź do Kościoła, tam znajdziesz ludzi, którzy cię przyjmą, otoczą opieką i profesjonalnie ci pomogą. Chcę wierzyć, że kiedyś tak się stanie.